Nieprawdopodobne



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

> ŻONA

Poślubiłem najwłaściwszą osobę,

wielki ze mnie szczęściarz, że mnie zechciała.

W szczytowym osiągnięciu mego życia

okazała się wspaniałą partnerką

i czułą matką czworga zdrowych dzieci.

Dożyłem kopy lat pod jej urokiem

więc się Budrysom wcale nie dziwuję.

ZAJĘCIA

Żona należała do wędrowniczek

i to harcerstwo już w niej pozostało.

Ćwiczy na sali trzy razy w tygodniu

i często chodzi na długie wędrówki.

Ja wtedy pozostając w domu, piszę,

na wiersze mienię kinetyczne ruchy.

Nasza współpraca ma cechy wzorowej.

Nie zawadzamy sobie w dyscyplinach:

Stale z małżonką chodzę na spacery,

ona niekiedy czyta to, co piszę.

POCHWAŁA LODÓWKI

Żona wyjeżdża na wczasy więc muszę

zaprzyjaźnić się intymniej z lodówką.

Ona mi będzie żywicielką, moją

spolegliwą chlebodawczynią, zawsze

gotową karmić głodomora z głębi

swych zimnych półek, z hojnego spichlerza

życiodajnych fruktów, bochnów i serów

nabiału, wędlin, warzyw mrożonych.

Z doświadczenia chwalę dobroć lodówki,

istnej przechowalni cierpliwych mężów.

NIEPRAWDOPODOBNE

Te wręcz nieprawdopodobne sześćdziesiąt lat

wspólnie przeżytych wymagało szczęścia

i roztropnej tolerancji obu stron

przebaczania i akceptacji błędów

wyrozumiałości opartej mocno

na przyjętych zasadach pojmowanych

jako trwałe fundamenty pożycia

godnego i błogosławionego.

Kopa lat to nagroda za współbrzmienie

w społeczeństwie pogrążonym w rozdźwięku.

NIEZAWODNA

Dotąd to było „do widzenia, serwus

do następnego razu, see you later”.

Teraz już „żegnaj” kojarzy się smutniej.

Nie będzie już powtórek i nawrotów.

Pewne transakcje kończą się na amen

staje u kresu, co było pisane.

Już nie pomogą tu manipulacje:

siła wyższa poradzi sobie z knuciem

nawet w najlepszej intencji. Stanie się

to co stosowne i co oczywiste.

Bo śmierć jak dotąd bywa niezawodna.



Meandry jezyka



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Było to chyba jeszcze w 1935 roku, kiedy wychowawca tłumaczył nam zmiany w nowej ortografii, która miała obowiązywać od 1936 roku i dotyczyć wielu imion, a nawet nazwisk. Podpisywałem się wtedy Florjan Śmieja. W mig na kartce papieru złożyłem zmieniony, moim zdaniem, według nowych przepisów podpis i byłem rozczarowany, kiedy nauczyciel zgodzi

się na krótkie **i** w imieniu, ale kazał w nazwisku przywrócić **j**. Może od tego momentu zacząłem dbać o pisownię mojego nazwiska. Kiedy więc kujony i puryści trzymając się ściśle przepisów nowej ortografii pisali w dopełniaczu "Śmiei", protestowałem najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Odtąd mam problemy i mają je inni, którzy skłonni mi iść na rękę.

Tymczasem zacząłem krytyczniej patrzeć na odmianę rzeczownika kończącego się na –**ja**. Nie będąc fanatykiem gramatyki przecież zauważyłem, że nazwiska z końcówką –**ja**, Zieja, w odmianie zmieniają temat przed dodaniem końcówki przypadku. Tematem nazwiska Zieja jest Ziej, a nie Zie, także Śmiej, a nie Śmie. Dlaczego więc "Śmiei" ma być poprawne?

Przeszedłszy w Kanadzie w 1991 roku na emeryturę zacząłem latać do Polski, aby uczyć hiszpańskiej literatury. Dotąd wypraw tych było szesnaście. Pierwsze czteromiesięczne staże były we Wrocławiu. Na uniwersytecie poznałem znakomitego językoznawcę profesora Jana Miodka. Okazało się, że skończył to samo gimnazjum, co ja, w Tarnowskich Górach, a być może uczył mnie jeszcze jego ojciec w tzw. Ćwiczeniówce. Zaprosił mnie do programu "Ojczyzna-Polszczyzna". Zwierzyłem mu się z nękających mnie wątpliwości, co do słuszności niektórych reguł ortografii. Kazał uzbroić się w cierpliwość i zapowiedział zajęcie się tą sprawą rzeczoznawców. Jest więc nadzieja.

Na razie zadowolić się muszę sporą notą pod hasłem “Śmieja” w “Słowniku Ojczyzny Polszczyzny” Jana Miodka.

***

Jestem dumny z polszczyzny moich dzieci urodzonych w Anglii. Wracając nocą któregoś lata z wakacji na Opolszczyźnie do Zabrza, zauważyłem na szosie w świetle reflektorów jeża.

Zatrzymałem samochód i iglastą kulkę, w którą się sympatyczny zwierzak zwinął, wtoczyłem nogą do pudła. Następnie spytałem najstarszą córkę Anię, jak go nazwiemy. Bez zastanowienia się powiedziała: “Jeżyk Śmieja”.

Dobre intencje



Jerzy Grotowski, poł. lat 80., fot. American Theatre

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Życie zazwyczaj daje nam więcej pomysłów i bodźców aniżeli czasu i możliwości do ich realizacji. Dobre intencje i idee potem bledną w porównaniu z nowymi, wydają się mniej atrakcyjne, wtórne czy nadto kłopotliwe, mało potrzebne.

Odwiedziwszy w latach sześćdziesiątych Tymoteusza Karpowicza jeszcze bodaj na wrocławskich Krzykach, miałem okazję spotkać się z Ludwikiem Flaszenem i Jerzym Grotowskim na malowniczym rynku. Domyślam się, że rozmawialiśmy o hiszpańskim teatrze i Calderonie. Musiałem rozmówców

przekonać, że jestem czynnym hispanistą, zdolnym przełożyć dla nich hiszpański dramat barokowy, dokładnej: moralitet “Wielki teatr świata”.

Upłynęły lata, a mojego przekładu nie było. Powstawały inne tłumaczenia, obiecane, nie ruszało z miejsca. Nie pamiętam już szczegółów. Pamięć milczy. Mogło mi się marzyć o dostarczeniu takiego tekstu, śnić o takiej propozycji. Bez jasnego imperatywu łatwiej mi było nie wywiązać się z obietnicy.

I to, co uszło z pamięci mogło było nie istnieć w rzeczywistości. Ale zachował się list, który świadczy przeciwko mnie. W liście tym w grudniu 1965 roku Jerzy Grotowski pisał:

> Powtarzam jednak „Wielki teatr świata” interesuje nas w stopniu szczególnym.

Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.



Profesor Florian Śmieja podczas uroczystości wręczenia doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Kiedy w 1945 roku skończyła się w Europie wojna, władze narzucone Polsce zażądały natychmiastowego rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Byłem wtedy w Szkocji. Brytyjczycy zarządzili apel wszystkich polskich żołnierzy i na nim, ich oficerowie wręczali nam, każdemu z osobna, ulotkę z wezwaniem do powrotu do Polski podpisanym przez angielskiego ministra spraw zagranicznych, Ernesta Bevina. Część kombatantów wróciła, większość rozjechała się po całym świecie. Ci, którzy pozostali w Wielkiej Brytanii, zostali wcieleni do Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia pod rozkazami Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego VI. Ponieważ toczyła się jeszcze wojna z Japonią, straszono, że istniała możliwość wylądowania w

innej scenerii konfliktu.

W rzeczywistości jednak, kto miał przydatny fach, szukał lokalnego zatrudnienia. Mój kolega znalazł pracę jako piekarz na szkockich wyspach Orkadach. Ja próbowałem naprawy zegarków, ale w końcu zapisałem się na kurs dla rybaków dalekomorskich, licząc na możliwość dobrych zarobków umożliwiających później studiowanie. Byłem już parę dni w porcie w Aberdeen, gdy dostałem wiadomość, że przyznano mi stypendium na studia humanistyczne w Irlandii. Pukając bowiem do wszystkich drzwi, zajrzałem w Londynie do polskiej katolickiej organizacji Veritas, która zabiegała o pozyskanie w Irlandii miejsc na uniwersytetach na studia przez Anglików nie przewidziane. Wprawdzie lista kandydatów już była zamknięta, ale urzędnik kwalifikujący, ujrzawszy na moim świadectwie maturalnym stopień bardzo dobry z łaciny, obiecał miejsce pod warunkiem, że będę studiował łacinę.

Słowa dotrzymałem, do łaciny dołożyłem grekę. Po służbie w wojsku, studiowanie w miłym mieście było wymarzoną wygraną losu. Na uniwersytecie w południowej Irlandii zdumiało mnie, że pięć katedr humanistyki obsadziły kobiety. Moja profesor od literatury angielskiej, Brigid McCarthy, była znakomitą autorką dwu tomów *The Female Pen* – historii brytyjskich pisarek, wybitnej wczesnej pracy o ich dorobku; była koryfeuszem ich walki o równouprawnienie. Prawdziwym jednak dla mnie

odkryciem był oferowany na uczelni w Cork język hiszpański, w owych czasach nieznany mi zupełnie i egzotyczny. Z czasem on i jego kraj stać się miały zastępczą ojczyzną i wielkim ukochaniem. Jego piękno i łatwa dla Słowianina wymowa oraz dobry fundament łaciny ułatwiły szybki postęp. Konwersacje z hiszpańskimi rybakami przebywającymi przypadkowo w Irlandii zastąpiły z czasem coraz częstsze odwiedziny Półwyspu Iberyjskiego. Nad wyraz kulturalny i szarmancki profesor Irlandczyk, dr J.G. Healy, okazał się nauczycielem bardzo pomocnym i inspirującym.

Po uzyskaniu licencjatu niespodziewanie zostałem asystentem dra Jerzego Pietrkiewicza w Londynie. Aczkolwiek znalazłem się w aurze języka polskiego, mój szef radził mi pielęgnować język hiszpański, więc zapisałem się na dalsze studia hispanistyczne w King's College w Londynie.

Tu wtrącę ciekawostkę. Ucząc polskiej konwersacji u Pietrkiewicza, udzieliłem też kilku lekcji języka polskiego przez hiszpański kuzynowi późniejszego króla Hiszpanii, księciu Adamowi Czartoryskiemu z Sewilli, który z matką i ojczymem pojawił się na krótko w Londynie.

W stolicy Anglii zrobiłem więc magisterium, a potem doktorat.

Seniorem hispanistyki był tam w tym czasie profesor Edward

Wilson, wsławiony znakomitym przekładem arcykunsztownego poematu Luisa de Góngora *Soledades*. Jego wiedza o siedemnastowiecznej literaturze i folklorze oraz znajomość wybitnych Hiszpanów były niekwestionowanymi atutami, z których i ja skorzystałem, kiedy przyznawszy mi drobną kwotę, wyprawił do Madrytu z osobistą rekomendacją adresowaną do grona zbierających się regularnie na popołudniową *tertulię* profesorów i uczonych. W ten sposób poznałem byłego dyrektora Biblioteki Narodowej Antonia Rodrígueza-Moñino i potrafiłem korzystać z niezwyczajnej erudycji, a nawet rzadkich książek wybitnych bibliotekarzy. Wilson poznał już w 1929 roku renomowaną *Residencia de Estudiantes* i w trudnych czasach dyktatury sprowadzał na gościnne wykłady do Londynu wybitnych twórców i pedagogów. On także dał impet do rewizji studiów calderonowskich, przyczyniając się do powstania respektowanej „szkoły brytyjskich calderonistów", którzy wsławili się znakomitymi interpretacjami teatru Calderona, jak też wydaniami krytycznymi jego tekstów. Miałem też jeszcze przyjemność poznać go jako szlachetnego amfitriona, kiedy egzaminując w jego okolicy maturzystów, przez kilka wieczorów zajeżdżałem do Kolegium Emanuela w Cambridge, gdzie mnie podejmował jego gospodarz dobywający spoza wiadomych sobie foliałów butelki znakomitego wina.

Kiedy Wilson odszedł do Cambridge, w King's College w Londynie pojawił się Aleksander Parker, urodzony w Urugwaju,

syn konsula, wykształcony w Anglii przez dominikanów, a później w Cambridge. To on wespół z Wilsonem kontynuował studia nad Calderonem i pochylił się nad jego teatrem religijnym, stwarzając o nim kanoniczne teksty. Przejął on pieczę nad moim doktoratem i został moim mistrzem, nie szczędząc czasu i cierpliwości, a potem opieki, polecając mnie na wykładowcę wpierw do London School of Economics, a następnie na Uniwersytet w Nottingham.

Kiedy osiedliłem się w Kanadzie, Parker też zawitał za Atlantyk, najpierw na Jamajkę, a w dalszej kolejności na katedrę w Teksasie. Jako zawołany ogrodnik doświadczył wielkiej satysfakcji, patrząc na bujność i bogactwo przyrody amerykańskiej po klimatycznych ograniczeniach Wysp Brytyjskich.

Ale wśród brytyjskich naukowców i tekstów zdarzyły się też polonika. Miałem szczęście wcześnie natrafić na wydany bodaj we Wrocławiu tekst profesora Stanisława Skiminy o wykładach z poetyki, demonstrujących rewelacyjną teorię konceptu jezuity Macieja Sarbiewskiego, z którą zaznajomiłem natychmiast Parkera, a następnie mojego egzaminatora z Oksfordu, profesora Roberta Pring-Milla.

W 1952 roku z Krakowa przyjechała profesor Stefania Ciesielska-Borkowska i razem pojechaliśmy na pierwszy Światowy Kongres

Hispanistów do monumentalnego oksfordzkiego Kolegium Corpus Christi, gdzie zebrali się najwybitniejsi hispaniści z całego świata z nieomal stuletnim, legendarnym Ramónem Menendézem Pidalem, Dámasem Alonso i Francuzem Marcelem Bataillonem na czele. Zapamiętałem, może przewrotnie, incydent nocnego powrotu niektórych tych luminarzy gramolących się niezdarnie przez okna, jak sztubacy, gdyż bramy kolegium zostały przepisowo zamknięte, a wiekowym intruzom groziła niepyszna defenestracja.

W bibliotece British Museum spotkałem profesora Władysława Folkierskiego i pokazałem mu mój bodaj pierwszy artykuł naukowy tyczący literackich związków polsko-hiszpańskich. Udało mi się obalić tezę profesora Edwarda Porębowicza, który przypisał niezidentyfikowane wiersze szesnastowiecznego poety Sebastiana Grabowieckiego wczesnej literaturze hiszpańskiej. Zamknąłem się na trzy tygodnie w bibliotece British Museum i wertowałem szesnastowieczne teksty hiszpańskie. Po ich zbadaniu sięgnąłem do literatury włoskiej i rozpoznałem wszystkie poszukiwane teksty u Bernarda Tassa (1493-1569). Konkludowałem pochopnie, że udowodniłem, iż Grabowiecki nie znał literatury hiszpańskiej. Kiedy profesor Folkierski zauważył z łagodnym uśmiechem, że tego nie udowodniłem, akceptował moje poprawione stwierdzenie, że jeżeli takową znał, to znajomość ta nie zostawiła żadnych śladów w jego twórczości.

(…)

Mówiąc o drodze naukowej muszę także pamiętać o dzielnych poprzednikach i towarzyszach mojej wędrówki. W pierwszym rzędzie moje laury należałyby się dziadkowi, czyli jak mawiamy na Opolszczyźnie, starzykowi, Urbanowi Kuligowi, który nawet w najgorszych czasach szalejącego w latach trzydziestych narodowego szowinizmu prenumerował polską prasę i nie tracił wiary w powrót sprawiedliwej macierzy. Następnie myślę o jego córce, a mojej matce, Rozalii, żyjącej w latach niesprzyjających edukacji kobiet, a lokującej w swoim najstarszym synu nadzieję duchowego wzrostu. To ona przekonała ojca, że warto przenieść mnie ze szkoły powszechnej w Kończycach do „ćwiczeniówki" w Tarnowskich Górach po to, aby umożliwić mi dalszą naukę w gimnazjum, o czym marzyłem.

Wreszcie muszę podziękować mojej dzielnej żonie Zofii, obarczonej czworgiem dzieci, która niemniej przeto pozwoliła mi latać kilkanaście razy do polskich studentów i to na znaczne okresy czasu.

Przed wojną, kiedy jeździłem regularnie na ferie na Opolszczyznę, poznałem dostojną gwarę i mówiących nią zacnych ludzi spod znaku Rodła. Ta wspaniała, a topniejąca z czasem garstka w latach ciężkiej próby zdobyła się na niewiarygodny wyczyn: na uchwalenie w Berlinie w 1938 roku

pięciu prawd zaleconych dla swoich członków, z których najpiękniejsza, „Polak Polakowi bratem”, dziś jeszcze nie straciła swojej ważności i sądzę, że zasługuje na adopcję przez cały naród jako cenne wiano bohaterskiej sztafety pokoleń.

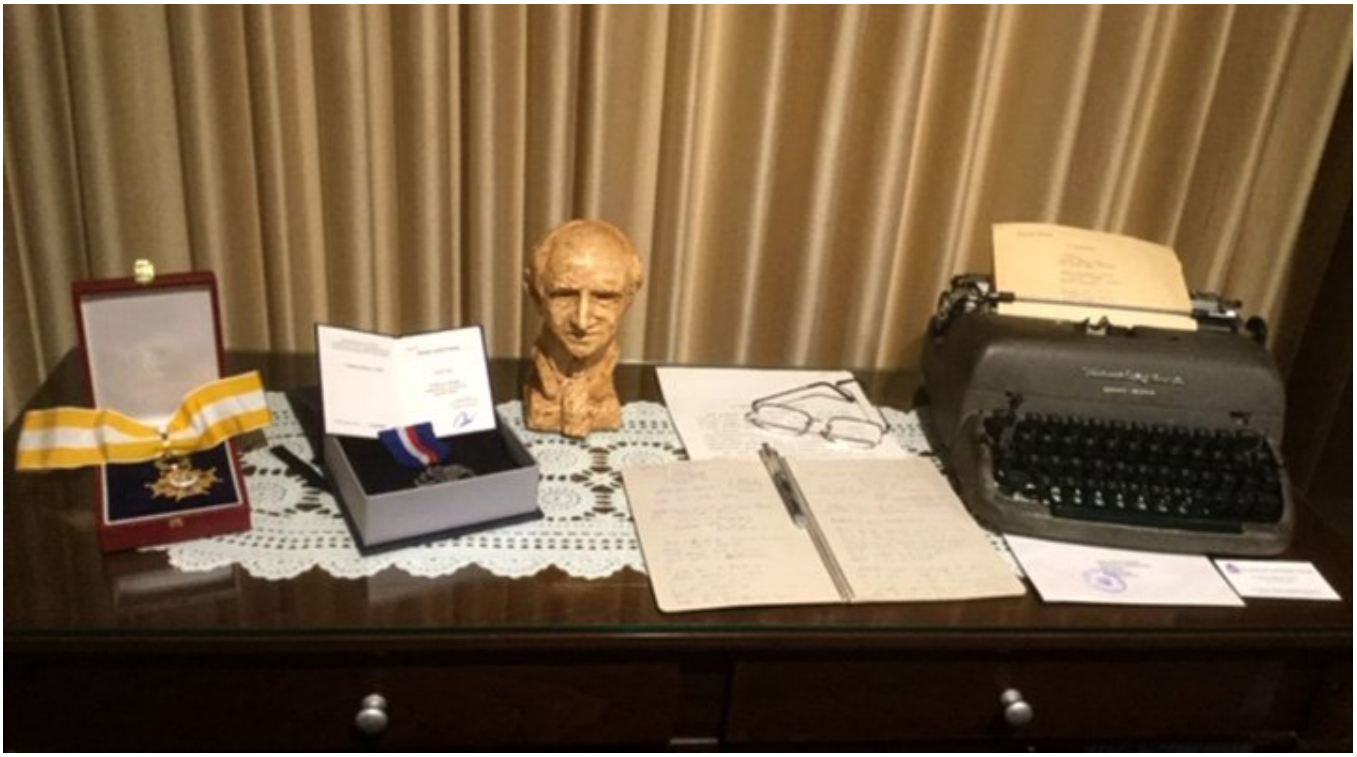
Fragment przemówienia wygłoszonego przez prof. Floriana Śmieję podczas uroczystości nadania tytułu doctor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Profesor wysłał mi ten tekst dwa lata temu, z sugestią, żeby ukazał się, gdy już go nie będzie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

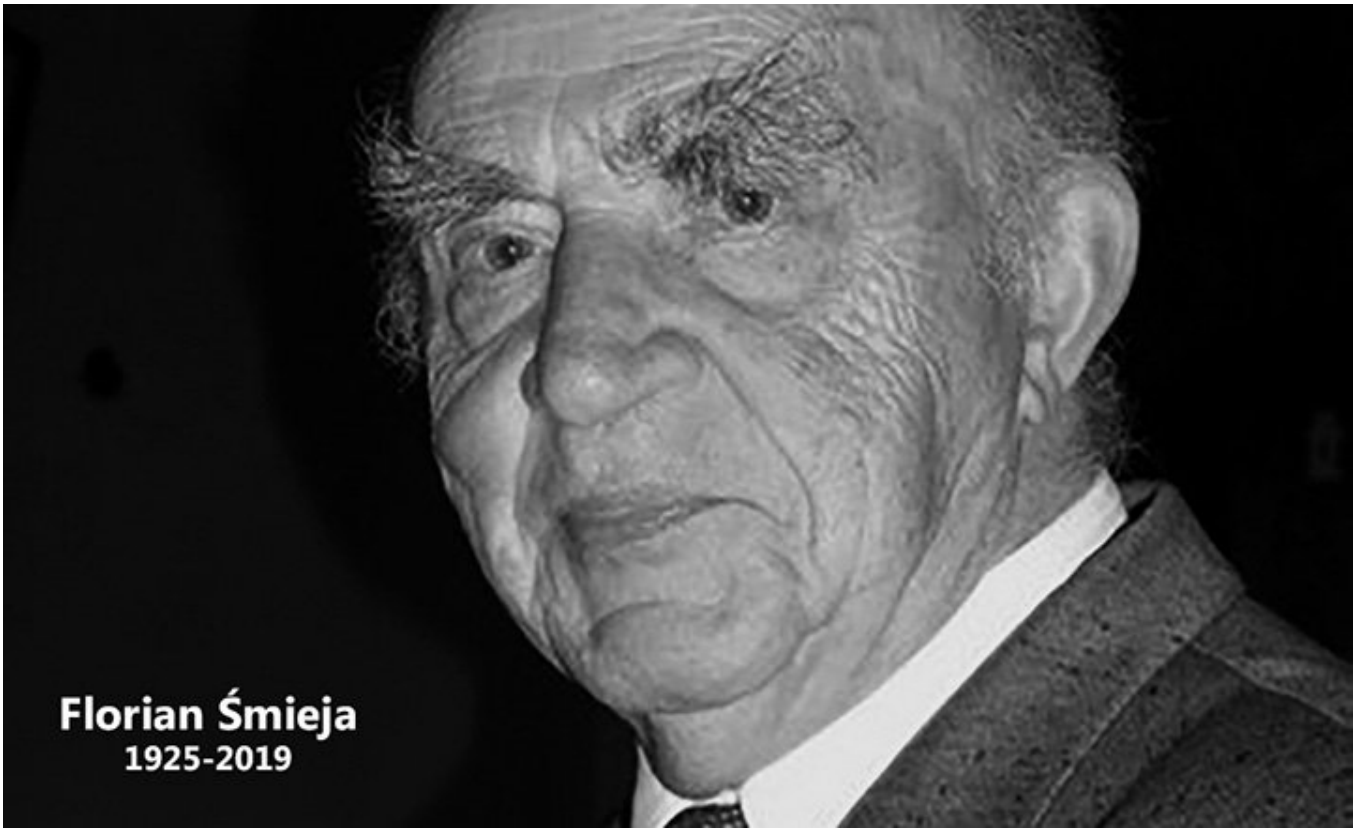
https://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/



Uroczystość pożegnalna prof, Floriana Śmieji, 6 września 2019 r., Mississauga (Kanada), fotografia przekazana przez rodzinę.

Odejście profesora Floriana Śmieji

(1925-2019)



4 września 2019 r. odszedł prof. Florian Śmieja – nestor polskiego pisarstwa w Kanadzie, poeta, tłumacz, eseista, badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, uczony związany z wieloma uniwersytetami w Anglii, Kanadzie i Polsce, doktor honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, wielce zasłużony dla kultury polskiej.

A jeszcze tak niedawno na „Culture Avenue” świętowaliśmy jego

94 urodziny. To mój mentor, redaktor, autor i przyjaciel. Wielka pustka, Nie umiem sobie wyobrazić dnia, bez porannej wiadomości, w której „melduje, że jeszcze żyje”. Wysłał mi e-mail tuż przed urodzinami, że pisze po raz ostatni, bo jest lichy. Nie chciałam uwierzyć. Jednak odszedł. Profesor był z pokolenia niezłomnych, pięknych duchem, dbających o wartości. Niepowetowana strata. Ale my… musimy iść tą drogą dalej, wtedy jego praca i to co budował przez całe życie będzie miało sens.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Florian Śmieja

PROCHY

Chciałbym, by moje prochy

powróciły do swoich,

spoczęły na gminnym cmentarzu

wśród braci i rodziców.

Błąkałem się po świecie,

czas już się ustatkować

i ziemi rodzinnej powierzyć ostatki.

Nie będę sechł na amen

w wietrznym pawilonie,

ani stanowił piędzi golfowiska,

bo mnie nie znajdą w Zaduszki,

ci co o zmarłych jeszcze pamiętają,

by przyozdobić barwnymi lampkami.

Pożegnanie Profesora odbędzie się w piątek 6 września 2019 r. w godz. od 19:00 do 21:00 w Turner & Porter – Neweduk-Erin Mills Chapel przy 1981 Dundas Street W. w Mississauga. Różaniec odmówiony zostanie o godz. 20.30. Msza święta w intencji spokoju duszy Zmarłego odbędzie się w sobotę 7 września o godz. 9.30 rano w kościele św.

Maksymiliana Kolbe przy 4260 Cawthra Rd. w Mississauga.

Poezja wojenna



Tadeusz Borowski, fot. wikipedia

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wśród zbiorków poezji przechowuję “Imiona nurtu” pierwszy bodaj druk wznowionej po wojnie Oficyny Warszawskiej w Monachium w 1945 roku z kolofonem podpisanym przez autora wierszy, Tadeusza Borowskiego, i grafika Anatola Girsa.

Uwolnieni z obozu w Dachau przez wojska 7 Armii Amerykańskiej chcieli zademonstrować hart ducha, który nie dał się złamać i zwyciężył w nieludzkich warunkach.

W ostatnim w tomie wierszu Tadeusz Borowski na kilka lat przed samobójstwem po powrocie do Polski, duma o przemijaniu wszystkiego:

> Ja wiem, że w wiecznym kole przemian
>
> zapadnie wszystko jakby w morze,
>
> że minie czas i minie ziemia,
>
> i to com kochał i co tworzył.
>
> Próżnobym, pełem wielkich tęsknot
>
> jak ślad na piasku wieczność tropił,
>
> bo ludzki trud i ludzkie piękno

> jest jak na wiatr rzucony popiół.
>
> Więc dobrze okruch szczęścia dostać,
>
> umiejąc fałsz od prawdy dzielić.
>
> I życie szczere mieć i proste
>
> jak uścisk dłoni przyjaciela.

Badacze literatury w powojennym

Londynie



Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Moją pracę doktorską z literatury hiszpańskiej prezentowaną w Uniwersytecie Londyńskim egzaminował Szkot, prof. Robert D.F. Pring-Mill (1924-2005) z St.Catherine College, Oksford. Kiedy wręczył mi na egzaminie zeszycik zapisany drobnym druczkiem maszynowym p.t. “Sto uwag o tezie Floriana Smieji”, pomyślałem

najgorsze. Pomyliłem się. Skrupulatna drobiazgowość i pracowitość, to były normalne cechy tego wybitnego naukowca. Potem się nasze drogi rozeszły i dopiero po pięćdziesięciu latach, dzięki Ninie Taylor-Terleckiej udało mi się z emerytowanym hispanistą nawiązać kontakt i wymienić przed jego śmiercią serdeczne listy. W jednym z nich znalazła się notka, która może zainteresować polską opinię.

> W moim mszaliku z czasów wojny nadal tkwi obrazek św. Barbary Patronki Polski Podziemnej, który weń wkleiłem na krótko przed wyjazdem na Daleki Wschód (moja wojna toczyła się w Indiach, Burmie i ,jak wtedy mówiono, Malajach). Ten mały mszalik towarzyszył mi przez cały czas, wraz z głębokim sentymentem dla sprawy polskiej: próbowałem nawet zrezygnować z armii – byłem w Black Watch – w dniu, w którym Rząd Brytyjski uznał Komitet Lubelski, co ja uważałem za ostateczną zdradę sprawy, za którą wszyscy walczyliśmy (oczywiście, rezygnacji mojej nie przyjęto, gdyż byłem po uszy uwikłany w planowanie tego, co miało być następną operacją: odzyskanie Półwyspu Malajskiego). Do moich cenionych pamiątek należy podpisana fotografia gen. Bora-Komorowskiego, która stała na mojej półce z książkami w Kolegium św. Katarzyny w Oksfordzie.

***

Przez kilka lat byłem asystentem dr Jerzego Pietrkiewicza na Uniwersytecie Londyńskim człapiąc na najwyższe piętro aneksu Szkoły Nauk Słowianskich przy Russell Square. W czasie naszej współpracy Pietrkiewicz zaczął publikować swoje powieści angielskie. Przypominam sobie, kiedy wydał kolejną powieśc "Loot and Loyalty" o Dymitrze Samozwańcu. Skoro przedzieżgnął się w powieściopisarza angielskiego, zmienił nazwisko na Peterkiewicz, ponoć to miało ułatwić tubylcom czytanie jego nazwiska. Chciał mi podarować egzemplarz nowej książki i ruszyliśmy do najbliższej księgarni. Usłużny subject usłyszawszy "Peterkiewicz" bez zastanowienia się zaprowadził nas do półki na "K".